

z posiadłości gruntowej, z budynków, z przedsiębiorstw, z poborów służbowych, z majątku w kapitałach, wreszcie z wszelkich innych źródeł dochodu, jak bezpłatne świadczenia. Tymczasem Czajkowski żył z dawnych warszawskich oszczędności Romana, które przecież wyczerpać się muszą, a o jakichkolwiek dochodach, przynajmniej na razie, mowy być nie mogło.

— Moja mamó, jakieś dochody dostateczne na nasze utrzymanie musimy wykazać, — mówił Roman, — bo w przeciwnym razie, jak mi mówiono, wydalą nas z Krakowa, jako pozbawionych środków utrzymania.

— A to pisz, Romciu, tylko ile? — mówiła zaniepokojona, — ażeby nam zbyt wysokiego podatku nie wymierzili.

— Sądzę, mamó, że jeśli płacimy sto pięćdziesiąt koron za mieszkanie, musimy stosunkowo do tego podać nasze dochody.

— A gdyby tak, Romciu, dwieście koron?

— Niepodobna, mamó. Czynsz, no niech już wyniesie jedną trzecią ogólnych wydatków, to wypadnie czterysta pięćdziesiąt koron miesięcznie.

— Nie, to za wiele, ja wydaję... — wzięła książkę rachunkową do ręki i przejrzaawszy ją rzekła: — przeciętnie kosztuje nas dzień trzy korony pięćdziesiąt.

— Tak, mamó. A opał, światło, usługa, moje wydatki, Ireny i różne nadzwyczajne a konieczne, przejdą sumę stu koron. Jeśli, jak wyraźnie wydrukowano w tem „zeznanie“, mam odpowiadać przed sądem za prawdziwość podanych cyfr, wolę dodać, aniżeli być ciąganym po sądach.

— Tylko nie sądy... pisz co uważasz za właściwe, zgadzam się na wszystko.

— Napiszę więc czterysta koron. Przecież i tak z kinematografu będę miał trzysta koron, a mamy odsetki także coś znaczą.

— Dlaczego piszesz w rubryce kapitały? — zajrzała do arkusza.

— Bo w polityce zeznałem, że żyję z kapitału.

— Cóż robić, pisz. Był nas to drogo nie kosztowało.

Tego samego dnia otrzymał Roman bilet od Stokłosa, ażeby udał się w sprawie kinematografu do magistratu i poprosił urzędnika, któremu tę sprawę powierzono do załatwienia, o przyspieszenie decyzji.

Wszedł do budynku obszernego, jasnego, a spotkany woźny wskazał mu biuro sekretarza, rozstrzygającego podobne sprawy.

Zastał w jasno oświetlonym biurze bruneta, średnich lat, który z miną obojętną odwrócił głowę od czytanych aktów w stronę otwierających się drzwi, spojrzał na wchodzącego i znów zagłębił się w czytaniu. Roman przystąpił bliżej, chrząknął; sekretarz uśmiechnął się, że nie słyszy, i czytał dalej. Zrozumiał Roman tę politykę i czekał cierpliwie, póki urzędnik nie skończy czytania, co trwało dosyć długo. Wreszcie sekretarz napisał kilka słów na akcie, złożył go porządnie, wsunął na właściwe miejsce, i dopiero spojrzał obojętnie na Romana, pytając:

— Co za interes?

— Dowiedziałem się, że podanie moje w sprawie otwarcia kinematografu odesłała policja do magistratu na ręce szanownego pana.

— Jakie nazwisko?

— Podpisał mój wspólnik Stokłos, a ja jestem Roman Czajkowski.

Sekretarz sięgnął ręką do jednej z przedziałek nad biurkiem, wyjął podanie i zaczął przeglądać plany, opinie policji i inne załączniki.

— Plan licha zrobiony, — skrzywił się, — hm... opinia z policji dobra, to szczególnie... zdawało mi się, że mamy dość tych kinematografów w Krakowie.

Wzmianka o dobrej opinii policji przyjemnie zdziwiła Romana, gdyż po tem, co tam był usłyszał, miał przekonanie, że policja wyda odmowną opinię.

Sekretarz złożył podanie i zwrócił się do Romana:

— Czego pan chce?

— Pora jest tak spóźniona, że prosiłbym najuprzejmiej o możliwe przyspieszenie decyzji.

— Tego za wiele, — oburzył się urzędnik. — Czy pan sądzi, że pan jeden złożył u mnie podanie? Patrz pan, — zrobił półokrągły ruch ręką nad biurkiem, — to wszystko czeka załatwienia, widzi pan?

— Może inne podania są mniej pilne, — zauważył Roman.

— A pana najpilniejsze, co? — zadrwił sekretarz, — tu są podania od miesiąca, od dwóch i dłużej nawet, i czekają swej kolei. Jak przyjdzie czas właściwy, zawiadomi się pana o komisji, która zejdzie na miejsce i oceni wartość i bezpieczeństwo lokalu. Skończyłem, — sięgnął ręką po papiery.

Roman, rozdrażniony tą bezwzględnością urzędnika, wyszedł wzburzony, lecz zanim znalazł się w mieszkaniu Stokłosa, już się uspokoił, zrozumiał, że urzędnik o tyle jest bardziej szorstki i bezwzględny, o ile zajmując niższe stanowisko w hierarchii, chce pokazać swe wielkie znaczenie i powagę wobec interesantów z obawy, że mogą go lekceważyć.



— Ależ Paulisiu kochana.

Stokłos przyjął dość obojętnie relację Romana i mówił z dobrą miną:

To są fanaberye biurokratyczne. Dawniej przemawialiśmy się ideą wolności, niepodległości, a teraz, gdzie się pan zwróci, od szkoły elementarnej do namiestnictwa, każdy biorący pensję uważa sobie za obowiązek być biurokratą.

— Przypada pan, — mówił Roman, — że to brzydki nabytek, formalizmem ogłupia mózg i wysusza serce. I tak mało spotkałem tu dzielności, inicjatywy, dążenia do zmiany, że naprawdę zdaje mi się, iż całe to społeczeństwo składa się z emerytów, ludzi przeżytych, którzy pragną tylko niezamąconego spokoju.

— Dużo w tem prawdy, ale może to się zmieni na lepsze, przecież nic nie stoi na świecie.

— Może to się i zmieni, ale tymczasem, co będzie z kinematografem?

— O, pan gorąco kapany, — zaśmiał się Stokłos, — nas Austria przyuczyła do czekania... i upewniam pana, że przy pociśnięciu pewnych, znanych mi sprężyn, komisja w niedługim czasie zjedzie do budynku naszego kinematografu.

XV.

— Władysław, a ty gdzie się tak spieszysz? — spytała radczyni, widząc, że syn, zjadłszy pośpiesznie ostatnie danie przy obiedzie, wstał i ucałował rękę matki, wyszedł do przedpokoju.

— Mam bardzo ważny interes, muszę wyjść... zresztą, tak znów rozkosznie w domu nie jest, — uśmiechnął się ironicznie.

To samo czuł i radca, westchnął bowiem i w milczeniu kończył obiad. W chwili, gdy miał przejść do swego pokoju po cygaro, powiedziała radczyni uprzejmym, ale zimnym tonem:

— Proszę cię, zostań, mam z tobą do pomówienia.

— Chciałbym zapalić cygaro, — tłumaczył się radca.

— Klimeczka ci przyniesie.

— Hm... nie wybierze mi dość suchego.

— Przyniosę całe pudełko, — wstała Klimcia.

Radca z wolna wybierał cygaro i niby je oglądając, patrzył podejrzliwie a ukradkiem na żonę, mówiąc sobie w duchu: Coś jest, ale co? czyżby widziała mnie z Ireną?

Te rozmyślenia przerwała radczyni, pytając dość szorstko:

— Czy skończyłeś z tem cygarem?

— Zaraz, tylko zapalę, — stając obciążony koniec cygara, schował obcięty kawałeczek do kieszeni kamizelki, zapalił, puścił kłęb dymu i rzekł z westchnieniem:

— Teraz cię słucham, powiedz.

Ponieważ służąca zabierała ze stołu talerze, powiedziała radczyni złym akcentem po niemiecku:

— Przy niej nie mogę mówić, — spojrzała wymownie na służącą, a widząc, że ta sprząta powolnie, zawołała gniewnie: — spiesz się, ty niezdarco, zabieraj razem, czego się tu płaczesz?

Radca, słysząc to, zaniepokoił się i pomyślał: o, źle! musi być jakaś ważna sprawa, ale czekał, milcząc dyplomatycznie.

— No, już ty masz ładnych krewnych — skrzywiła usta do ironicznego uśmiechu.

— Albo co? — spytał z niewinną miną.

— On się jeszcze pytał — zaśmiała się nerwowo, — czy to oczu nie masz? czy ty nic nie słyszałeś?

— Nic a nic.

— Słyszysz, Klimeczko? I ty nazywasz się ojcem? — czyż ciebie prócz twego głupiego urzędu już nic nie interesuje? ani twój dom, ani przyszłość dzieci?

— Proszę cię, mów wyraźniej, niechże się dowiem o co chodzi, poco te delikatne omawiania?

— Istotnie, mameczko, poco te przygotowania? jesteśmy sami swoi, i jestem przekonana, że ojczulek tylko przez niewiedomość o stanie rzeczy jest tak beczynny.

— O, nie znasz ojca, — mówiła z goryczą radczyni, — dla innych, a zwłaszcza dla swej rodziny, nie skąpi

trudu, zachodu, gotów iść na koniec świata, ażeby im zrobić tylko przyjemność.

Radca się zmieszał, teraz był pewny, że Paulisia wie o jego wycieczce z Ireną na Skalkę i w głowie począł układać plan swojej obrony.

— Powiedz sam, czy to nieprawda? — spytała surowo radczyni.

— Ależ moja kochana, — usprawiedliwiał się pokornie, — stało się to zupełnie przypadkowo, spotkałem ją, właśnie szła na Skalkę...

Twarz radczyni stała się karmazynową, a Klimcia, patrząc na rodziców, uśmiechała się z wyższością dobrze wychowanej panny.

— Kiedy to było? — z trudem wyrzekła radczyni.

— No, przecież nie zapisuję w pamiętniku, — starał się uśmiechnąć radca, — będzie temu... może... pięć, siedem, dziesięć dni...

— I ona poszła z tobą? — indagowała podstępnie z ukrytym gniewem.

— Ależ, moja kochana, jestem przecież jej wujem, cóż w tem dziwnego?

(Ciąg dalszy nastąpi).